60 groszy

Tygodnik Polski

№ 43
4. XII. 27



Opłata pocztowa ryczałtem 4—11 grudnia 1927 r. Cena 60 gr.

Tygodnik Polski

CENA PRENUMERATY:
Miesięcznie . . . Zł. 2.—
Kwartalnie. . „ 6.—
Półrocznie. . . . „ 12.—
Rocznie . . . . „ 24.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Miodowa 5, tel. 28-33
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p. Redakcja czynna od 10 do 4-ej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych fotografij i rysunków Redakcja nie zwraca.
Konto P.K.O. Nr. 14315 Konto P.K.O. Nr. 14315

ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ PRZEZNACZA SIĘ CO TYDZIEŃ CENNE NAGRODY

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 43.

Kartki z raptularza

NASZA ILUSTRACJA TYTUŁOWA. Widzimy na niej piękny obraz C. Mystkowskiego p. t. „Modlitwa“, który zwraca powszechną uwagę na obecnie odbywającej się wystawie malarzy polskich w Paryżu.

Mocny w kompozycji, pełen głębokiego wyrazu i chwytający za serce swoim nastrojem, podkreśla potęgę i szczęście kornej modlitwy, słanej przed Tron i Majestat Najwyższy.

CHCĄ NAS KUPIC... Baczność! Z jakiem takiem uporządkowaniem spraw finansowych w Polsce zaczyna nam grozić, jak się okazuje, inwazja obcego kapitału.

Apetyty rosną.

Groźba nie w tem, że płynie obcy kapitał, którego było brak i który jest pożądany, lecz chodzi o to, iż kapitał ten chce zmajoryzować cały szereg gałęzi naszego przemysłu.

O ile obcym kapitałem możemy i powinniśmy rozwinąć jego zakres i rozpiętość, o tyle tego kapitału nie wolno nam wprowadzać w takiej ilości, aby przemysłem polskim rządziły obce ręce, albo żeby był całkowicie w obce ręce sprzedany.

Słowem — chcą nas kupić, więc nie powinniśmy dać się sprzedać!

WYBORY I PLOTKARZE. Czy znacie ludzi, co wszystko wiedzą i z góry przewidują, co i jak będzie? Zapewne tak, gdyż proroków nam nie brak.

Zwłaszcza teraz, gdy rozpoczyna się wkrótce okres wyborów. W każdej takiej chwili mnożą się, jak grzyby po deszczu, a proroctwa nabierają cech wszelkiej białej i czarnej magji. Ten z tym, tamten z owym, tu partja się rozsypała, tam już się rozsypuje, nic z tego, słowem:

— Zobaczycie, co będzie?

I wszystko to mówi się z tajemniczą miną, oniemal do ucha i szeptem. Dla proroka wszystko jest jasne, proste i zgóry przewidziane.

A skutek?

Mącą umysły, sieją zamęt, tworzą chaos.

Oj, plotkarze, plotkarze!

MANJA WRÓŻENIA. Człowiek jest ciekawy... Drażni go tajemnicza zasłona przyszłości, ukrywająca jutro, to też pragnąłby uchylić choć jej rąbek, byle zerknąć w to, co go czeka.

Żerują na tej słabości ludzkiej, zwłaszcza spotęgowanej u kobiet, różnego rodzaju aferzyści, udający wróżbitów, magów, czarodziejów, i mędrców wschodnich, dla których wszelka przyszłość, jak wrota, otworem stoi.



I naplecie, nabajdurzy taki przepowiadacz czy przepowiadaczka różnych możliwości i niemożliwości, a klijent czy klijentka płacą za wizytę, tak jak u doktora.

Rozwielmożnił się ten haracz ludzkiej naiwności w ostatnich czasach bardzo. Wróżbitom i wróżbitkom powodzi się lepiej, niż naiwnym pacjentom, wpychającym pieniądze do kieszeni oszustów i wydrwigroszów.

Czy nie szkoda grosza? Czy nie lepiej zużyć go produkcyjniej dla siebie czy dla ulżenia ludzkiej biedzie i niedoli, której tyle dokoła?

Każdemu, kto chce uchylić rąbek własnej przyszłości, podajemy bezpłatnie jedną i zawsze sprawdzającą się wróżbę:

— Nasze jutro tylko od nas samych zależy...

REKORD EKSCENTRYCZNOŚCI. Moskal wymyślił czarta, a Niemiec małpę — tak przynajmniej twierdzi nasza przypowieść ludowa.

Słowem każdy wymyśla to, na co go stać.

Rekord jednak w wymyślaniu najprzeróżniejszych niesamowitości i ekscentryczności biorą niezrównani pod tym względem Amerykanie.

Jeżeli wierzyć prasie, to ostatnio Amerykanie, wymyślając wielkie dziwa, wymyślili sobie również szefa jednego z pułków w osobie naszej rodaczki Poli Negri (Apolonji Chałupiec), słynnej artystki filmowej.

Odtąd pono na chorągwi pułkowej będzie jej oblicze i monogram P. N.

Wprost nie chce się wierzyć w tego rodzaju spazm umysłowy. To już nie ekscentryczność, a cynizm.

Z mojej karjery... Wywiad XXXVIII

Remigjusz Kwiatkowski

W serji wywiadów p. t. „Z mojej karjery" dotąd kolejno głos zabrali: Wacław Sieroszewski, Zygmunt Bartkiewicz, Zofja Nałkowska, Andrzej Strug, Zuzanna Rabska, ś. p. Gustaw Daniłowski, Marja Rodziewiczówna, ś. p. Stanisław Przybyszewski, Wacław Grubiński, Aleksander Świętochowski, Karin Michaelis, Juljan Adolf Święcicki, Aleksander Kraushar, Maciej Wierzbiński, Gilbert Keit Chesterton, Antoni Ferdynand Ossendowski, Stefan Kiedrzyński, Stanisław Milaszewski, Juljan Ejsmond, Stefan Krzywoszewski, Gustaw Olechowski, Zdzisław Kleszczyński, Stefanja Jerwiczowa, Kazimierz Wierzyński, Jan Adolf Hertz, Zdzislaw Dębicki, Adolf Nowaczyński, Włodzimierz Perzyński, Antoni Lange, Juljusz German, Tadeusz Kończyc, Wacław Filochowski, Tadeusz Boy-Żeleński, Witold Bunikiewicz, Mieczyslaw Smolarski, Ferdynand Hoesick, Marja Szpyrkówna,

— A więc dobrze... Opowiem dwa najciekawsze dla mnie epizody z mojej doli i niedoli.

— Słuchamy...

— Za najcenniejszy swój utwór, wobec którego wszystkie inne odchodzą na plan bardzo daleki, uważam krótką z kilku zdań składającą się odezwę, którą wypadło mi pisać, jako szefowi biura prasy i propagandy wojskowej podczas inwazji bolszewików, kołaczących już do wrót stolicy w pamiętnym roku 1920... Ze wzruszeniem zawsze wspominam tę chwilę, kiedy, zdając sobie sprawę z wagi otrzymanego rozkazu, skupiwszy wszystkie moce i chęci, drżąc i w potach cały (odezwa za godzinę miała się już ukazać na murach Warszawy) rzuciłem na papier pierwsze jej słowa:

Ojczyzna w potrzebie!

A potem jeszcze kilka krótkich, mocnych, organowych zawołań, obrazujących grozę sytuacji, i podpis Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza...

No i czyż wobec swojego przeznaczenia i dziejowego momentu nie był to utwór większej wagi, niż wszelkie moje poezje, „uty", zbiory aforyzmów wschodnich i redagowane wydawnictwa? Starałem się włożyć weń wszystko, na co tylko było mnie stać, całą duszę, całe serce, całe ukochanie Polski, tem więcej, iż miał ją podpisać Wódz, który niezłomnie prowadził naród do zwycięstwa.

Ten mój utwór, ilekroć o nim wspominam, jest dla mnie źródłem nieustającego wzruszenia i radosnej nagrody za wszelkie zło, pleniące się bujnie, jak chwast, na drodze każdego życia.

— A czyż pańskie „uty", aforyzmy wschodnie i inne poezje, które się tak spopularyzowały, nie dały panu wielkiego zadowolenia?

— Owszem! Zwlaszcza zbiór aforyzmów wschodnich pod tytułem: „Parasol noś i przy pogodzie"...

— Dlaczego ten właśnie?

— Niech pan posłucha, gdyż wiąże się z nim drugi z najciekawszych epizodów mojego życia, o którym chcę opowiedzieć.

Wojna... front... kula nie wybiera. W stolicy powstała na wzór innych krajów organizacja „matek chrzestnych", opiekujących się żołnierzami i oficerami na froncie. Jedną z takich „matek chrzestnych" była żona znanego artysty i sama utalentowana artystka, pani O., której „chrześniakiem" był młody podporucznik na froncie. Lubił bardzo ten mój „Parasol" i nosił go stale w lewej kieszeni frencza, a na marginesach notował różne przeżycia ze staczanych bojów, wśród zaś notatek nie brak było i tych, co zwrócone były pod adresem pięknej „mamy chrzestnej". Powróciwszy z frontu, ofiarował go jej wraz z zapiskami... „Parasol" przebity był wrażą kulą do ostatniej prawie kartki. Gdyby nie „Parasol noś i przy pogodzie" w lewej kieszeni frencza, kula przebiłaby młode, pełne życia i miłości serce, a tak przeszyła tylko „parasol"... Prosiłem panią O., by mi ten egzemplarz podarowała, jednak nie chce się go pozbyć.

— Ależ to bardzo ciekawy przypadek...

— Prawda? A gdy do tego zobaczyłem podporucznika — dodaje żywo pan pułkownik Remigjusz Kwiatkowski — ślicznego, jak malowanie, młodego zucha i bohatera z frontu, przed którym jeszcze całe życie i karjera może aż do buławy marszałka, coś chwyciło mnie za gardziel i z lubością pomyślałem o latach wygnania w Moskwie, gdziem studjował języki wschodnie i „parasole" zacząłem robić. Czyż to jedno piękne życie nie jest warte wszystkich „parasoli" razem?

— A może jeszcze dorzuci co pan do swojego wywiadu?

— Nie warto!... Pozatem obłuda, fałszywa przyjaźń, zawiść, zazdrość, a wśród tego od czasu do czasu i dobrzy ludzie, dobre serca i dobre dusze — oto wszystko, co towarzyszy każdemu z ludzi pióra, pracującemu na widowni publicznej. I poco o tem mówić?



Remigjusz Kwiatkowski
popularny poeta-orjentalista i literat.

REMIGJUSZA KWIATKOWSKIEGO:

LIRYKI — poezje; POLSKA IDZIE... poezje; JAHWE — poemat dramatyczny, odznaczony na konkursie im. Juljusza Słowackiego w Warszawie; BAŚŃ poemat dramatyczny, odznaczony na konkursie im. Stanisława Wyspiańskiego w Poznaniu; CHIAKUNIN IZSZU— antologja stu poetów japońskich; PARASOL NOŚ I PRZY POGODZIE — rady wschodnie, serja 1; I NOCĄ NIE WYCHODŹ NAGO — rady wschodnie serja 2; NIE ZAGLĄDAJ ZA PARAWAN — rady wschodnie serja 3; LIŚCIE Z BAMBUSU — poezje chińskie; WRÓBEL-MIKADO — bajka japońska ze zbioru „Sadzanami-Sadzanmi".

W trzechsetlecie boju pod Oliwą

Pierwszem i jedynem dotąd zwycięstwem naszem na morzu był bój pod Oliwą, którego trzechsetletniej rocznicy poświęcamy nasz artykuł. Niestety, nie dbaliśmy o morze, to też odeszło od nas, zagniewane za brak troski i miłości. Dziś musimy naprawić krzywdę, mu wyrządzoną i kochać morze, jako podstawę potęgi państwowej Rzeczypospolitej. Cnota taka winna się stać powszechną w całym narodzie.

Zagadnienie wolnego dostępu do morza, jeśli przykładać wagę do fatalności wypadków historycznych, jest w Polsce tą sprawą, która, od wieków będąc najistotniejszym warunkiem naszego niezawisłego bytowania, wciąż stawała się przedmiotem ostrych starć wojennych i dyplomatycznych.

Logicznie przecież zdawałoby się, iż Wisła będąc główną arterją komunikacyjną, przecinającą całą Polskę — od Tatr do Bałtyku — winna podlegać wyłącznemu naszemu władaniu, na całej jej przestrzeni, boć sensem istnienia jej, to właśnie i przedewszystkiem ujście do morza.

Niestety jednak, jak mówi poeta,

...nurtów wiślanych tętna
biją, jak płacz i jak szloch,
bo w morze wpływa niechętna,
jak gdyby w więzienny loch;

bo Polski Bałtyk pod pruską
strażą, jak ongiś, jest wciąż
i leży pod fal swych łuską,
jak ranny w kolczudze mąż.

Więc szumią żałośnie wiślane fale, a Wisła mówi:

„O wyzwolenia godzinę
dziś wołam do waszych serc
i, szlocham szumiąca, płynę
hen, kędyś do Gdańskich twierdz.

Trudno. Ponosimy dziś winę ojców naszych, którzy, z wyjątkiem kilku wybitnych mężów, nie doceniali należycie roli ujścia Wisły i panowania narodowej bandery na nurtach Bałtyku.

Dziwnie sprawdza się ten nastrój psychiczny społeczeństwa z popularnem ongiś wyrażeniem: *spuścić do Gdańska*, które nie tylko oznaczało spław towarów ku morzu, ale przedewszystkiem — trwonienie i tracenie daremne dobra.

Obcy nawet zdawali sobie sprawę z naszej ślepoty, mówiąc, iż *niema drugiego państwa, któreby łatwiej mogło budować flotę jak Polska, a nie buduje żadnej. Sama całej Europie dostarcza drzewa, żywicy, smoły i wszystkich innych potrzeb do budowy okrętów, a o siebie nie dba. Przeto zdana na łaskę flot nieprzyjacielskich, posiada wybrzeże zupełnie otwarte na najazdy i ataki.*

Trudno. A jednak słabi tylko poddają się fatalności — los nasz leży wyłącznie w naszych rękach i jeśli było nam danem przeżyć straszne kataklizmy dziejowe, które z całą bezwzględnością mściły się za nasze grzechy — dziś właśnie, gorzkie doświadczenia przeszłości winny nam być podnietą do rozwijania warunków normalnego bytowania, opartego na nieskruszonej sile obrony od wszelkich gwałtów i od klęsk gospodarczych.

*

Nawracając do wypadków dziejowych, stwierdzić jednak musimy, iż byli światli mężowie, którzy zdawali sobie sprawę z doniosłości panowania na morzu, tak zwanego *dominium maris Balthicis.* I gdy wszystkie zainteresowane sprawą tego dominium mocarstwa uzbroiły się do stoczenia ostrej walki na lądzie i na morzu, powstały u nas pierwsze zaczątki floty polskiej, upragnionej *morskiej armaty*, która na poły z inicjatywy dzielnych marynarzy, napoły zaś przy czynnem poparciu ostatniego z Jagiellończyków, króla Kazimierza, wystawiła okręty.

Ci pierwsi polscy zdobywcy mórz, których nazwiska wdzięcznie wspomina historja, byli tak zwanymi *kaprami (flibustierami, korsarzami).* A byli to Wacław Dumin Wąsowicz, Maciej Scharping, Marcin Preus i Seebald Roman.



Bandera polska jest symbolem władania polskiego na morzu

Rozwój wypadków politycznych, które obudziły coraz większe apetyty nadbrzeżnych mocarstw do dominium bałtyckiego— Szwecji, Danji i Rosji — i nas zmusiły do intensywnego wzmacniania sił morskich.

Zygmunt III, niefortunnie ubiegający się o koronę szwedzką zapuszcza się nawet na wybrzeże skandynawskie i, choć wraca pobity, jest tym pierwszym naszym królem, który własnemi rękami podniósł ojczystą banderę nad wodami Bałtyku.

Sprawa floty znalazła skądinąd należne jej miejsce w konstytucji: *Klassą i armatą morską, z chęci naszej i potrzeby Rzeczypospolitej, jakośmy budować zaczęli i wedle możności dostatków to czynić chcemy i gdy Pan Bóg do dziedzicznego (szwedzkiego) swego państwa dopuści, część pewną gotowej, wedle kondycji in pactis conventis wyrażonej, szwedzkiej armaty in usum damy i pobudowana, tak Koronie, jak W. Ks. Litewskiemu, należeć będzie, na której i gubernatora przyszłego obojga narodów i państw do nich należących, Koronie i W. Ks. Litewskiemu, chować mamy i one w portach tej Rzeczypospolitej stawiać.*

Opinję tę podzielała wprawdzie i część społeczeństwa, niestety jednak większość mów i orędzi, wygłaszanych na sejmach przez światłych patrjotów pozostawała bez najmniejszego skutku.

Trzeba było dopiero utraty Inflant, najazdu szwedzkiego, potężnego argumentu poniesionych klęsk i bolesnych strat, żeby przejrzały i szersze masy.

Zabrano się do dzieła z gorączkowym pośpiechem. W roku 1623 posiadano już 9 okrętów linjowych, wybudowanych pod nadzorem znakomitego technika, Jack Murray (Szkota). Utworzono specjalną komisję morską z Janem Wendtem i Piotrem Nielsonem na czele.



Bój pod Oliwą według współczesnego sztychu gdańskiego

Wszczęto wreszcie pertraktacje z Hiszpanją, która miała oddać do naszej dyspozycji 24 okręty i 200.000 zł. wzamian za podpisanie przez króla akcesu do ligi morskiej i poprowadzenia wyprawy na Szwecję.

Podkreślić musimy z uznaniem wielką zasługę osobistą, którą oddać należy Zygmuntowi III za czynne jego zabiegi i poświęcenia materjalne.

Skromne siły morskie Polski trzymać się musiały wybrzeży, ograniczając działania swe do wywiadowczych i wypadowych na zabłąkane jednostki nieprzyjaciela.

Dnia 17 maja r. 1627 nastąpiło pierwsze zetknięcie się z flotą szwedzką, która w sile 12 okrętów pod znakami kupieckimi ukazała się koło wybrzeży pomorskich. Eskadra polska, składająca się z trzech okrętów królewskich i jednej szkuty o 6 działach pod dowództwem kapitanów, Wita, Mora (czy Morey'a) i Magnusa dojechała aż ku Łebie, lecz zobaczywszy tam zgromadzoną całą flotę szwedzką o 24 okrętach, zmuszona była cofnąć się za Białą Górę. Została jednak przed czasem spostrzeżona i trzy okręty szwedzkie puściły się za nią w pogoń. Przyszło do walki, która według współczesnej *relacji przedstawiała się następująco: „Jeden okręt szwedzki ujeżdżał ku Białej Górze, a dwa na zasadzce zostały, chcąc naszych zajechać. Podle Białej Góry zjechały się te trzy okręty J. Kr. Mości ze szwedzkimi i rozpoczęły do siebie ogień, przyczem szwedzkie okręty hasło dawały, ogień z przyprawami (sygnały świetlne) do góry miotając, by im inne na posiłek przybyły. Zrównawszy się z naszym okrętem, na którym był kapitan Mora, jeden ze szwedzkich okrętów granaty począł miotać: naszych ludzi do 20-stu na pokładzie postrzelono, nadto na drugim okręcie, którym dowodził kapitan Magnus, rozerwało się działo"*.



Michał Friedewald, „człowiek uczony" i zausznik króla Zygmunta III, który w okresie, poprzedzającym bój pod Oliwą, badał gwałty wiecznie niepokornych gdańszczan nad kaprami polskimi.

Całe lato r. 1627 flota królewska stała w porcie gdańskim, blokowanym przez przeważające siły szwedzkie.

Po stronie polskiej było 9 okrętów, w tem 6 dużych wojennych o 20 działach, reszta przerobiona ze statków handlowych. Dowódcą,



Tak wyglądała flota polska na morzu, staczająca zwycięski bój pod Oliwą

czyli też prefektem naw królewskich (praefectus regiarum navum) był admirał Arend Dickmann.

Flota szwedzka w sile 12 dużych okrętów i 4 małych, dowodzona przez admirała Niklasa Stiernskölda stała u portu na odległość strzału armatniego.

Dysproporcja sił wstrzymywała króla od zaryzykowania walki morskiej, którąby rozerwała kordon blokady i przywróciła łączność ze światem.

Dopiero pod jesień 1627 r. flota szwedzka zmieniła swe stanowisko. Cztery statki nieprzyjacielskie odeszły ku Helu, podczas gdy u wejścia do portu gdańskiego pozostały tylko dwa na służbie obserwacyjnej, reszta trzymała się pełnego morza. Korzystając z chwilowej przewagi wypłynęło 7 okrętów królewskich w nocy z 27 na 28 listopada i między Brzoznem a Sopotami, mniej więcej naprzeciwko Oliwy, otoczywszy nieprzyjaciela pod osłoną mgły i ciemności zaatakowały obserwacyjne statki szwedzkie. Rozpoczęła się zacięta, trzygodzinna bitwa, w której brały również udział ustawione na brzegach i fortach Latarni baterje. Admiralski okręt szwedzki z 38 działami i kasą dostał się do niewoli, z drugiego, wysadzonego w powietrze przez dowodzącego kapitana, zdołano uratować tylko działa.

Uporawszy się z najbliższym przeciwnikiem, flotyla polska zaatakowała cztery statki stojące u Helu. Jeden z nich utonął, trzy znacznie uszkodzone zbiegły, podczas gdy okręty polskie z powodu niepomyślnego wiatru nie mogły urządzić pościgu.

W walce tej polegli z obu stron admirałowie: szwedzki Stiernsköld i polski Dickmann.

Nazwy zwycięskich naszych okrętów były: König, Dawid, Św. Jerzy (admiralski), Biegnący Jeleń, Panna Wodna, Wodnik, Arka Noego, Syrena, Tygrys, Biały Pies i Delfin.

Pogrzeb poległych admirała Dickmana i kapitana Sztorcha odbył się z niezwykłą uroczystością. Obok załóg wszystkich okrętów wzięło w nim udział całe miasto Gdańsk. Zwłoki pochowano w kościele Panny Marji.

Pierwsze to zwycięstwo polskiej marynarki, którego w tym roku obchodzimy 300-letni jubileusz, miało dla Polski niezmiernie doniosłe znaczenie, a bezpośrednim jej skutkiem było złamanie blokady wybrzeży, którą Szwedzi tak wielce gnębili nasz kraj.

W ciągu następnych kilku miesięcy młoda flota polska królowała nieomal bezpodzielnie na wodach Bałtyku, potwierdzając wieść, przyjętą na Zachodzie ze zdumieniem, o chwilowej przewadze sił morskich Rzeczypospolitej.

I chociaż niedługo cieszono się zwycięstwem pod Oliwą, bo już na wiosnę następnego roku, jednostki polskie zostały rozgromione przez nowy atak sił szwedzkich — to jednak, triumf ten dał pochop następnym pokoleniom do dalszych usiłowań i przez cały ciąg panowania Władysława IV, który może największe poniósł zasługi w kierunku władania morzem, okręty pod banderą Rzeczypospolitej uwijały się po Bałtyku, niosąc szczytną straż wybrzeży polskich.

Flota ta opierała się o czysto polski port w Pucku, zaopatrzony w arsenał wojenny i o fortyfikacje nadbrzeżne na Helu, we Władysławowie (u podnóża Wielkiej Wsi) i Kazimierzowie (koło Kuźnicy).

*

Ostatnim z królów, na którego Rzeczpospolita włożyła obowiązek wystawienia floty był Jan Kazimierz.



Widok Gdańska z XVI wieku. Na pierwszym planie gdańszczanie w charakterystycznych strojach

Tragiczne jednak dzieje panowania tego monarchy, odwróciły powszechną uwagę od morza, zlekceważono poprzednie wysiłki, jak gdyby potwierdzając ironiczne słowa gdańszczanina Chemnitza, który mówił, iż naród polski nie ma nic wspólnego z rybołóstwem i wolnością mórz.

Olbrzymia flota szwedzka pod dowództwem admirała Wrangla podczas wojny sześcioletniej zniszczyła port w Pucku, fortyfikacje nadbrzeżne, a pokój, dziwnym zbiegiem okoliczności zawarty w Oliwie, pogrzebał ostatnie usiłowania dominium polskiego na Bałtyku.

*

Zmieniły się dziś na szczęście, poglądy społeczeństwa na kwestję władania morzem. Uporczywa walka na gruncie dyplomacji, którąśmy staczali w chwili odrodzenia Ojczyzny, szybko zabudowujące się polskie pobrzeże Bałtyku i rosnąca w znaczenie flota wojenna i handlowa są najlepszym dowodem, uświadomienia najszerszych mas naszego narodu o doniosłości tej sprawy.



Bój pod Oliwą według współczesnego sztychu holenderskiego

Ś. p. Stanisław Przybyszewski

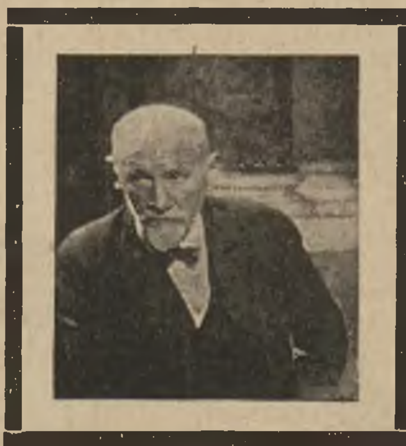
Twórczość polska poniosła znowu dotkliwą stratę...

Zmarł Stanisław Przybyszewski w kwiecie wieku męskiego i pełni sił twórczych, które długo jeszcze i owocnie służyć mogły narodowi. Sterany jednak walką o życie i przeżyciami wewnętrznemi organizm nie przetrwał choroby, która go o śmierć przedwczesną przyprawiła.

Piśmiennictwo polskie okryła żałoba.

Twórca „Młodej Polski“, której przewodził i wśród której jaśniał swym żywiołowym i oryginalnym talentem, pozostawił po sobie bogatą kartę w literaturze.

— Wpadłem w literaturę, jak Piłat w Credo — mówił nam o sobie w niedawno zamieszczonym wywiadzie p. t. „Z mojej karjery“ (patrz Nr. 6 „Tygodnika Polskiego“ z dnia 20 marca 1927 r.) — Wszystko mi się śniło, we wszystko wierzyłem, tylko nie w to, że zostanę literatem.



Ś. P.
STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

A jednak iskra Boża powołała go na szczytne stanowisko polskiego twórcy, na którym stał się koryfeuszem literatury ojczystej, pomimo, iż rozpoczął swą pracę literacką w języku niemieckim cennym utworem „Chopin und Nietsche“, który zwrócił odrazu powszechną uwagę na wielki talent autora.

— Byłem zakłopotany, onieśmielony, zafrasowany — opowiadał nam ś. p. Stanisław Przybyszewski. — Byłoby trudne do zrozumienia, gdyby nie to, że do dziś dnia uczuwam jakiś dziwny, głęboki wstyd, gdy widzę wydrukowane moje nazwisko, a przecież dawno powinienem był się z tem otrzaskać... Byłem przygnębiony tą pierwszą „radosną nowiną“. Ale już teraz nie mogłem odwrócić biegu mego przeznaczenia: dostałem się w literaturę... Moje prymicje na „kapłana literatury“ były jedną udręką. Omijałem ulice z księgarniami, w których mogłoby być moje dzieło wystawione na pokaz publiczny, lękałem się wziąć gazetę do ręki, by się tam nie spotkać z mojem nazwiskiem...

Skromność ta towarzyszyła wielkiemu pisarzowi do końca życia. Ubyła twórczości polskiej postać nieprzeciętnej miary, wybitny talent i prawy czysty charakter.

Humor i karykatura w Anglji

W. Heath Robinson

Humor i karykatura — wdzięczny to zapewne temat, jakże trudny jednak do opracowania, skoro najpoważniejsze autorytety ze świata filozofji nie mogą podać ścisłego określenia samej istoty śmiechu, stanowiącego zasadniczy środek humorystów i karykaturzystów.

Zamierzając poświęcić szereg artykułów tej dziedzinie sztuki i poszczególnym jej talentom, cykl ten rozpoczniemy od jednego z najoryginalniejszych mistrzów śmiechu na świecie, W. Heatha Robinsona, którego wyłączną specjalnością jest groteska.

Groteska jest całkiem odrębną dziedziną sztuki, o ile bowiem zarówno humorysta, jak i karykaturzysta, są przedewszystkiem satyrykami i usiłują obok śmiechu wywołać pewne głębsze myśli, groteska nie ma ukrytego celu, śmieszy nas i tyle.

I śmiech to bodaj najzdrowszy, śmiech właściwy dzieciom, nie szydzi on bynajmniej z niczego, choćby wykoślawiał nawet i poważny temat.

A że Anglo-sasów właśnie cechuje pewna prostota umysłowości, będąca wytworem przeciągniecia struny w kierunku intensywnego zajęcia się fizycznym rozwojem rasy, światowe mistrzostwo groteski nikomu innemu nie mogło przypaść w udziale, jak tylko Anglo-sasom.

Takim właśnie niefrasobliwym wesołkiem i mistrzem groteski, jest angielski artysta, W. Heath Robinson.



W. H. Robinson: Fatalna pomyłka



W. H. Robinson: Start

Artysta ten, to szalony, zuchwały, bezczelny swawolnik, urwipołeć i ulicznik, którego flagą i chorągiewką jest bodaj strzęp wystającej ze spodni koszuli.

Bezcennem jego bogactwem jest nieokiełzana fantazja w stwarzaniu pomysłów, w których nie tai się żadna tajemnica, a wszystko, do najdrobniejszych szczegółów, jest wyraźnie nawet podkreślone. Krótka legenda pod rysunkiem dopełnia przejrzystej całości koncepcji.

Weźmy, naprzykład, magnes, który ma być „deską ratunku“ w katastrofie na morzu lub żywy semafor, hamujący pociąg przed przejechaniem leżącej na szynach niewiasty.

Nie inaczej pomyślany jest obraz, noszący nazwę „Start“. Wychudzone, karykaturalne szkapiny mają za chwilę wyruszyć w dystans, a że cały kunszt tego procederu polega na jednoczesnem wypuszczeniu z mety, wymyślił więc artysta szczególny przyrząd, tak napozór prosty, że ze śmiechem zaczynamy wierzyć w realność tego „wynalazku“. Wszystko to opracowane jest do najdrobniejszych szczegółów — nawet rzepa, zawieszona przed pyskami koni, jako łagodna zachęta, komicznie kontrastująca z gwoździami, które uderzą po kościstych zadach rumaków.



W. Heath Robinson: Improwizowany semafor



W. Heath Robinson: Magnes jako sposób ratowania tonących

Rozbraja nas i obraz, grozą swoją przypominający Grand=Guignol'owie widziadła, na którym spostrzegamy zaczytanego, gościa restauracyjnego, jak obojętnie ćwiartuje głowę sąsiada, w przekonaniu, że to... głowa sera. Cicho i bez jęku kona biedna ofiara. Kelner w oddali już, już zemdleje z przerażenia... a my, patrząc na tę nieprawdopodobną szarżę, za boki się bierzemy ze śmiechu i cieszymy się, jak dzieci.

Robinson lubi ptaszki, takie dziwne, niesamowite ptaszyny, których groteskowe postacie wplątane są z groteskowo = nieprawdopodobnemi przeżyciami człowieka.

Cóż zabawniejszego, jak podskubane takie dziwne pisklę, co w dziobie unosi do niebotycznego gniazda przerażonego gentlemana.

A legenda?

— Potrzymaj go chwilę, synku — mówi zabiegliwa matka — niech no tylko przygotuję sałatę...

Dalekim jest wprawdzie wesołek=Robinson od spełniania jakiejkolwiek wyższej misji społecznej, którą chciał w



W. Heath Robinson:

— Patrz, mamo, jaka piękna porcja.

— Potrzymaj go trochę, synu, niech no tylko wymieszam sałatę.

swoim czasie narzucić grafikom jeden z pierwszych teoretyków tej sztuki, genewski profesor Töepfer (1847).

Ze wszystkiego śmieje się Robinson, zarażając nas swoim niefrasobliwym humorem — i to nam wystarcza.

Inaczej działoby się w humorystycznem ujęciu tematu. Porównajmy, naprzykład, pewną analogję pomiędzy ocaleniem od przejechania przez pociąg u Robinsona i u francuskiego humorysty, A. Faivre'a: tu kobiecinę ratuje fantastyczny semafor, podczas gdy Francuz, również leżąc na szynach, konstatuje na zegarku... że pociąg spóźnił się. Dowcip więc u humorysty zwrócony jest przeciw kolejom, w grotesce zaś wystarcza jeden wyraz: semafor i niesamowitość ratunku, która wywołuje serdeczny nasz uśmiech.

— — — — — — — —

Czy nie widać pewnej analogji, która się nastręcza w twórczości Robinsona i niezrównanego w swoich kreacjach, popularnego artysty filmowego Buster Keatona?

O maści końskiej

(Przez Wincentego Pola)

II

Jeżeli kasztan jest jabłkowity bywa twardszy, bo nie tyle zły i łechczywy, a zawsze lepszy czem ciemniejszy i w sierści i w jabłkach; podobnie jak rudowacizna w tej sierści, w grzywie i w ogonie lub w pojedyńczych rudych włosach, przerzucających się po całej skórze kasztanowatej, należy już do najgorszych znaków w tej maści.

Po kasztanowatej idzie sierść cisawa. Konie tej maści są w ogólności tego samego przyrodzenia, co kasztanowate. Czem czerwieńsza cisowacizna, tem złośliwsze i niepewniejsze; trudne do użycia, bo im się wielkiej dzielności zachciewa. Jeśli co dobrego czynią, to tylko z własnej woli i fantazji, niestałe i narowiste, trudzą się też prędko; a czego się nauczą zapominają rychło. Do biegu bywają skore i biegu żartkiego, ale nie na długą metę. W tej maści bywają takie odmiany: jasno-cisawy mało że nie czerwony, ten ze wszystkich cisawych złośnik największy i prawie nigdy nie pójdzie ręką; bo gdy dzielniejszy, pełen narowu, gdy podlejszy, kaleczeje, zawsze niedobry dla jeźdźca i ludzi co koło niego chodzą. Dalej cisawy o śniadej grzywie takim ogonie i ciemnej prędze przez krzyż: ten natury dobrej, wytrwały i już pracowitszy, gdy się z jeźdźcem zna. Trzeci bywa ciemno-cisawy, a ku temu z ciemną pręgą przez krzyż i ciemno-jabłkowity. Sierść taka należy już do osobliwości i miewa wielkie przymioty. Na takim to koniu dowodził król pod Wiedniem — zwał się „Pałasz". Czwarty w końcu bywa cisawo-pleśniwy, który tem lepszy czem się więcej białego włosu po cisawej sierści przerzuca: taki koń trwały, dobry i bezpieczny. Jak już samo mówi przysłowie: „Cisawo-pleśniwy, rycerzom szczęśliwy".

Maść izabelowata rzadka gdy czysta, a w koniu dzielnym wielkiej zalety.



Stadnina, pasąca się w stepie — oto jedyna troska pokojowa rycerza, jakim był stary Mohort.

Osobne też stada chowano tej maści, aby ją utrzymać w jednej mierze i czystości.

Konie tej sierści bywają wielkiej duszy użyte pod wierzch, wielkiej wspaniałości kiedy w cugu idą — jeden spoziera na drugiego i górno się niesie; narów tu nie znany, karać się nie dadzą, pochlebiać im trzeba, bo się znają na sobie. Dzielność w nich zawsze jedna, czy z dziedzińca w bramę, czy z drogi przed ganek, tylko w drodze z niemi bieda, bo powoli jedzą i tylko z wysokiego żłobu; koni małych nie cierpią, stąd, jak napadną gdzie, biją i zagryzą; kucyk przy nich nie może chodzić i strach przy izabelowatym na wyrostka, gdyby na kucu siedział, bo go sięgnie zadem przez drugiego konia, albo nakryje przodem. Izabelowaty zna się na rzędzie, na szorze i okazji: czem szor i rząd bogatszy, czem większa okazja, tem górniej się niesie; zawsze dopisze, gdy trzeba, w największej wrzawie i natłoku spokojny i wspaniały; odważny, ale nie junak; w kalwakacie czy w boju jeden, lubi łakocie, potrzebuje pieszczoty, lubi muzykę i najłatwiej go się ujeździ, gdy mu przygrywają, ale rozumnej potrzebuje ręki, a gdy pryskać zacznie, to już źle.

Mniej nawet godne konie w tej sierści mają podobne zalety, stąd lubią w wojsku wachmistrze, a przy stadach stadniczych jeździć na izabelkach. Bułana sierść w powszechności ani wielkich wad, ani wielkich zalet nie ma; często miękkiego ścierwa, to też prędko spada i prędko się poprawia w ścierwie.

Bułany dobry do orczyka, gdy ma szerokie czoło, szerokie i równo między uszyma, a jest rozpartego zadu; dobry także na podjezdka, bo ostrożnie koło chartów idzie, zapala się za zwierzem, a czujny, gdy na poszczuciu i stanowisku stoi; w szeregu zaś karny. Bułany tem gorszy czem jaśniejszy, zwłaszcza jeżeli ma rybie lub wilczate oko, jeżeli grzywa i ogon jednej maści. Do piękniejszych odmian należą bułanki lśniąco-masłowate, z białemi jak śnieg grzywami i ogonami; te bywają bardzo łagodne, pojętne, wesołe, bez złości i narowu; stąd też wsadzano na wyrostki i niewiasty, bo jak się chodów i zwrotów wyuczą i bez wędzidła i bez wprawnej ręki, na cmoknienie lub znak robią wszystko karnie i względnie, choć jeździec temu nie praw.

Więcej jeszcze cenioną odmianą jest bułany o czarnej grzywie i czarnym ogonie, a gdyby do tego przyszły uszka jak u lisa czarno postrzyżone, czarne nogi i chrapy, ciemna pręga przez krzyż i ciemne lub czarne jabłka po zadzie — to już nie mieć go nawet za bułanka, bo dzielniejszych koni w żadnej maści nie bywa.



Koń w polskim rzędzie, zwanym „taratajką".



Pośród artystów paryskich

(Własna korespondencja z Paryża)

Nasza paryska kolonja artystyczna zaczyna się energicznie organizować i śladem swych kolegów innych narodowości łączyć w większy związek, który pod przewodnictwem artysty-malarza i rzeźbiarza, p. Kiergula liczy już około stu trzydziestu członków. Wielu z nich, jak naprzykład Olga Boznańska, cieszy się europejską sławą. Niedawno dopiero związek posiadł własne swoje locum, mieszczące się w jednej z obszerniejszych kawiarń Montparnasu, przy Avenue du Maine 23, i tam, pod nazwą „Société Internationale des Artistes", urządza stale wystawy dzieł swych członków, a także udziela gościny swym kolegom innej narodowości.

Organizacja ta cieczy się oficjalne poparciem p. ambasadora Chłapowskiego i jego małżonki, co rokuje jej doskonałe widoki rozwoju.

Poza Olgą Boznańską w wystawie tej biorą udział tacy znani i uznani artyści-malarze jak Mela Muter, Rubczak, Chmieliński, Black, Cykowski, Mystkowski i inni.

Dwaj ostatni, należący do najmłodszych, lecz nie mniej utalentowanych, zorganizowali ostatnio w salonach znanej firmy „kuntsthaendlerskiej" Durand-Ruel przy Avenue de Friedland pokaz rocznego swego dorobku artystycznego z różnych, o tysiące kilometrów oddzielonych od siebie krajów. O ile bowiem, śladami Tadeusza Styki, Cykowskiego, fascynuje tajemniczy urok i koloryt wybrzeża północno-afrykańskiego, głównie Tunisu i Marokka, o tyle Mystkowski jest wiernym wyznawcą czarów mglistej i sentymentalnej Bretanji.

Pierwszy z nich wystawił 25 płócien, na które składają się przeważnie plastycznie i jędrnie rysowane pejzaże z okolic Meknes, Marakesz, Kasablanki i stóp Atlasu z małą przymieszką dobrze zaobserwowanych typów lokalnych. Studja ruin marokańskich cechuje duża doza odczucia architektury arabskiej, co przy odtworzeniu walorów świetlnych tego interesującego kraju, daje rezultat bardzo miły dla oka. Prostota środków jest ich najbardziej charakterystyczną stroną, choć może coś nie coś da się zarzucić rysunkowi lub samej kompozycji obrazu. Ale talent Cykowski niezawodnie posiada i to mu jest najlepszą podnietą na przyszłość.

Bardzo pomyślnie przedstawia się rezultat prac Czesława Mystkowskiego, których wystawił około 35. Są to wyłącznie studja akwarelowe z różnych zakątków Bretanji, ujęte w formę jasną i plastyczną bez silenia się na zbytni sentymentalizm ani typową „słodkość". U niego szare mgliste niebo jest elementem, który najlepiej daje się ująć w karby delikatnej akwareli i to właśnie, można rzec śmiało, jest dominującą nutą tych wielce sympatycznych obrazów. Mystkowski widzi świat bretoński bez szukania specjalnych efektów, ale jakby od niechcenia w wakacyjnej przechadzce. Cecha ta nadaje im specjalną świeżość i bezpośredniość.

Mamy również do zanotowania, że nasz znakomity portrecista, p. Bolesław Czedekowski, który święcił zeszłego zimowego sezonu ogromne sukcesy w Ameryce, zdobył w tegorocznym „Salon du Printemps" srebrny medal za portret swej żony i córki. Jest to niezawodnie europejskiej miary artysta, który posiadł wszystkie tajniki swego trudnego „rzemiosła". Wkrótce organizuje on większą wystawę swych dzieł u paryskiego Knoedlera na placu Vendôme, poczem w Londynie w Królewskiej Akademji i ewentualnie u jednego z prywatnych „kunsthaendlerów".

Stefan Kleczkowski.



Kazimierz Cykowski: Głowa murzyna



Z ruchu samochodowego

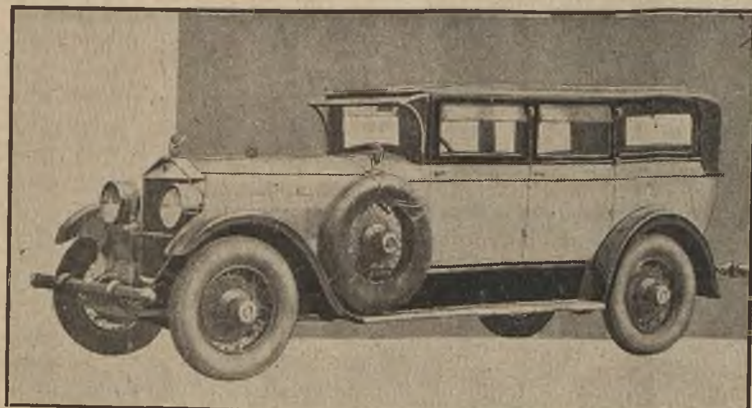


Czytelników naszych niewątpliwie zainteresuje wiadomość, iż oczekiwać należy w najbliższym czasie przybycia do Polski pierwszego transportu samochodów amerykańskiej marki Elcar Motor Company z m. Elhart, Indiana.

Wozy Elcar należą do najbardziej wykwintnych, a zarazem praktycznych samochodów ostatniej doby. Na międzynarodowych konkursach i wystawach marka Elcar stale zdobywa najwyższe nagrody za wyjątkowe zalety techniczne i estetyczne wykonania swych wozów, a zwłaszcza za niezwykle piękną linję karoserji, za wyjątkową wytrwałość i dokładność motoru i ram podwozia, a wreszcie za znaczną oszczędność w zużywaniu paliwa.



P. Feliks Krzypkowski, generalny reprezentant na Polskę (Kongresówka) fabryki samochodów Elcar Motor Company, USA. Ul. Służewska 3, w Warszawie. (Tel. 92-34 i 266-59)



Model wozu amerykańskiej fabryki Elcar, który ukaże się w najbliższym czasie na ulicach naszej stolicy z partji okazowych samochodów, wyekwipowanych dla Polski. Wóz ten nosi nazwę „Elcar Sedan de Luxe" (8-mio cylindrowy, 90 H. P.)



P. B. SEARS, President
ELCAR MOTOR COMPANY.

Prezydent fabryki Elcar F. B. Sears



Na ilustracji widzimy niepospolity wóz fabryki Elcar Motor Company, Elhart, Ind., USA, który odbył niezwykłą podróż, przebiegając przestrzeń wynoszącą przeszło sto dwadzieścia siedem tysięcy mil amerykańskich, bez najmniejszych uszkodzeń technicznych motoru i karoserji. Przy wozie stoją z prawej strony: p. W. P. Street, główny dyrektor Elcar Motors Export Compamy w Cleveland, Ohio. USA a po lewej p. K. S. Rymowicz, generalny dystrybutor-prokurent fabryki samochodów Elcar na Wschodnią Europę, p. Rymowicz, bawi obecnie w Warszawie, w celu wyznaczenia reprezentantów firmy Elcar na Polskę. Został już wyznaczony jako reprezentant na terytorjum b. Kongresówki p. Feliks Krzypkowski w Warszawie. Poszukiwani są solidni reprezentanci na Małopolskę, Górny Śląsk, Pomorze i Gdańsk. Osoby interesujące się objęciem zastępstw na powyższe terytorja raczą składać swe oferty do p. Rymowicza, chwilowo pod następującym jego adresem: ul. Nowosenatorska 8, w Warszawie (telefon 511-11) albo też pod adresem: Mr. K. S. Rymowicz, 729. Seventh Avenue. Nev York City USA, względnie do dyrektora generalnej reprezentacji na Europę, p. M. H. Hoepli, Pahnhofplatz, Zurich, Szwajcarja.



Polskie sylwetki filmowe

Marja Ambrożewiczówna

Zaciszny salonik Marji Ambrożewiczówny. Pogawędka, jak przystało na wschodzącą gwiazdę, o początkach karjery.

— Jestem tancerką plastyczną, — oświadcza nam miła gosposia — i kocham swój zawód. Przypadek zrządził, jak to często bywa, iż dostałem się pod światło jupiterów. Winowajcą w tym wypadku był reżyser Bruno Bretsznajder, który, ujrzawszy moją fotografję, zainteresował się, podobno, fotogeniczną moją osóbką i zaproponował na początek odegranie drobnej roli w nakręcanym przez niego filmie p. t. „Syn Szatana". Próba wypadła pomyślnie.

Fotosy moje dostały się do niemieckiej „Ufy", która zaproponowała mi ‚engagement". Wyjechałam więc do Berlina, lecz odrazu zorjentowałam się na miejscu, iż trudnoby mi było pozostać na stałe w obcem środowisku, tem więcej, iż tamtejsza atmosfera nie jest dla nas, Polaków, zbyt przychylna.

Odmówiłam więc podpisania kontraktu i wróciłam do kraju.

— No a cóż sny o sławie? — zapytuję uroczą naszą artystkę. — Nie łatwo przecież, tak, jednym zamachem, wszystko przekreślić...

— Zapewne — brzmi ujmująca prostotą odpowiedź. — Nie wątpię, iż trudniej mi będzie utorować sobie drogę w Polsce i zasłużyć na sławę gwiazdy światowej. Ale zato pozostanę wśród swoich i przyczynię się może skromną moją pracą do rozwoju polskiego filmu.

Właśnie ukończyłam rolę, którą mi przeznaczył reżyser Star w nowym obrazie, p. t. „Przeznaczenie", a że szczerze pokochałam zawód filmowy, więc przypuszczam, że zawsze znajdę dla siebie rolę w przyszłych „nakręcaniach"...

— Czy można zapytać — staramy się dowiedzieć, — jak się pani czuła w tej ostatniej roli?



MARJA AMBROŻEWICZÓWNA
utalentowana artystka filmowa.

— Pewnie, że dobrze, — uśmiecha się urocza „gwiazdeczka" — a zwłaszcza, że tyle życzliwości okazał nam wszystkim kochany Star... Więcej nic nie powiem, boć właściwa ocena należy do publiczności, no i do was z tej groźnej prasy...

A zagranicę już nie pojadę szukać szczęścia — kończy z niekłamanym zapałem Ambrożewiczówna, rozbrajając nas do reszty swoim entuzjazmem.

W. Hollak.

Ziemia Obiecana

(Palace)

Polska wytwórnia „Sfinks" wstąpiła od pewnego czasu na drogę przeróbek filmowych, dzieł naszych powieściopisarzy. System ten, propagujący naszą literaturę budzi pewne zastrzeżenia z punktu widzenia kinowego, szczególnie, jeśli nie jest zbyt ostrożnie stosowany.

Przykład powyższego daje nam „Ziemia Obiecana", osnuta na tle znanej powieści W. Rejmonta. Obraz ten, naogół bardzo udatny, dzięki reżyserji p. A. Hertza, jest bezwątpienia wielkim krokiem naprzód w rozwoju polskiej produkcji filmowej, posiada jednak jeszcze pewne błędy. Dzięki swej nierówności, scenarjusz nie odzwierciadla należycie gorączkowego, pełnego nerwów życia „polskiego Manchesteru — Łodzi", co jest główną intencją twórcy powieści. Niektóre sceny zaledwie — jak naprzykład, rozegrane w pociągu i w teatrze, zostały utrzymane we właściwym tempie.

Obraz został niepotrzebnie przeładowany szczegółami i postaciami, luźno stosunkowo związanymi z myślą przewodnią. Scenę wesela łowickiego, dobrze podkreślającą kontrast wsi i miasta, należałoby nieco skrócić.

Drobne jednak wady scenarjusza wyrównują do pewnego stopnia, wykonawcy, z których na czoło wysuwa się Solski, dając świetną, chwilami budzącą dreszcz zgrozy, sylwetkę króla bawełny Bucholtza. Uroda Smosarskiej została tym razem należycie wyzyskana; szkoda tylko, iż poskąpiono jej pierwszoklasowych zdjęć. Gorczyńska, jako bankierowa Zuckerowa, dobra. Debjutant ekranu, Gruszczyński, swobodny i naturalny. Junosza Stępowski, jak zwykle, poprawny

Zdjęcia p. p. Gniazdowskiego i Zawisławskiego bardzo dobre, szczególnie plein-air'y i scena pożaru; wnętrza słabsze.

Mimo drobnych usterek, film ten zasługuje całkowicie na powodzenie, którym się też cieszy.

Korwin.

„Szatańska Syrena“

(Casino)

Biuro tow. filmowego „Petef-Film“ S. A. należy bez wątpienia do rzędu najruchliwszych i najżywotniejszych placówek. Pod niektóremi względami wyprzedziło ono na rynku krajowym całą swoją konkurencję, gdyż w historji kilkuletniego swego istnienia, wprowadziło niejeden pierwszorzędny obraz.

W latach 1923—1925, biuro „Petef“ sprowadziło kilka obrazów produkcji „Paramountu“, stosując się w wyborze filmów do warunków i wymagań polskiego rynku. I tak więc dzięki „Petefowi“, oglądaliśmy pierwsze filmy z Douglasem Fairbanksem, z Mary Pickford i z Glorją Swanson; pierwsze filmy reżyserji Buchowieckiego, Lubitcha, Griffitha i Cecil B. de Mille'a. „Petef“ pokazał nam filmy w rodzaju „Amerykanki“, „Napiętnowanej“, „Żony Faraona“, „Głosu ulicy“, „Arizony“, „Małego bogatego biedactwa“ i pierwsze filmy z Polą Negri.

Macierzysta placówka „Petefu“, pozostająca obecnie pod wytrawnem kierownictwem pani Iny Łabędziowej, jest wytwórnia „Sascha“, jedyne przedsiębiorstwo tego rodzaju w Austrji. Kilka pierwszorzędnych filmów tej wytwórni oglądaliśmy już tak w ubiegłym, jak i w bieżącym sezonie, między innymi „Kabaret“ z polskim Valentino, Igo Symem.



Pod wpływem kuszącego wzroku „Szatańskiej Syreny“ Jerzy zapominał powoli o przysiędze, którą złożył narzeczonej



Kusząca i zwodnicza jest Claire de Lorez w „Szatańskiej Syrenie“, która się ukazała w kinie „Casino“

Obecnie „Petef“ wypuszcza na rynek arcydzieło produkcji francuskiej p. t. „Szatańska Syrena“, reżyserji Leonce Peret'a.

„Szatańska Syrena“ jest filmem, odźwierciadlającem życie francuskiej arystokracji rodowej.

Leonce Peret w rozmowie z dziennikarzami nadmienił: „Głównem mojem zadaniem podczas kręcenia tego filmu było stworzenie takiego obrazu, któryby zaćmił poprzednie moje prace. Dlatego wybrałem scenarjusz „Morgane, la Sirene“ za temat do filmu, że umożliwia mi wprowadzenie do akcji nowych, dotychczas nigdzie niespotykanych momentów“.

Film ten otrzymał wspaniałą obsadę. Czołową rolę męską odtwarza Iwan Petrowicz, role kobiece powierzono najpiękniejszym artystkom francuskim: M lle Jocsyanne i Claire de Lorez.

Film „Szatańska Syrena“ jest jednym z najbardziej interesujących obrazów sezonu. Egzotycznością tematu, znakomitą obsadą, świetną reżyserją i idealnemi zdjęciami wyróżnia się ten obraz wśród wielu dotychczasowych filmów francuskich.



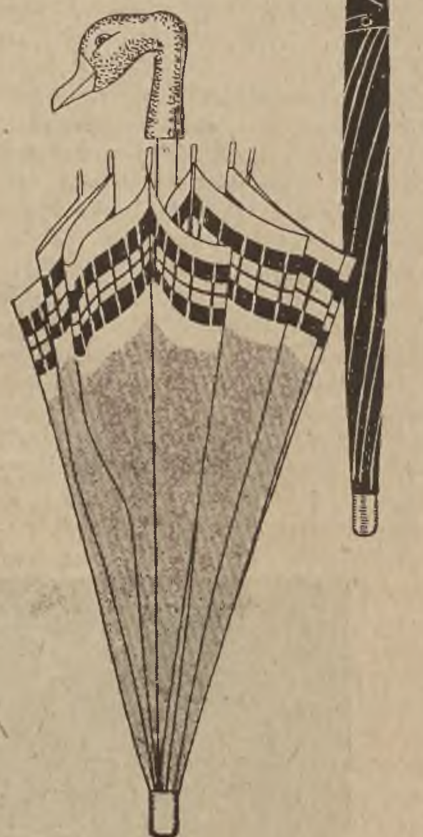


Kilka nowości sezonu

Zacznijmy od głowy. Toczek bez rondka, którego kloszowa forma urozmaicona bywa miłem zagięciem lewego brzegu. Ta kokieteryjno-zawadjacka inowacja jest wielką nowością sezonu. Modnym odcieniem jest taupe o stalowo-srebrzystych tonacjach.

Ekstrawaganckie parasole, których rozmiary nie odpowiadają przeznaczeniu, zostały urozmaicone oryginalną może, ale niezbyt wdzięczną ornamentacją, której temat zaczerpnięto ze świata ptactwa domowego. Potworne dzioby gęsie lub kacze potęgują wrażenie o snobizmie, wypierającym użyteczność parasola.

Pantofelki wreszcie, pomimo zimowych pluch, noszone są z upiększeniem w kwiaty różnych tonów.





LEKARSTWO NA ODZIĘBIENIE

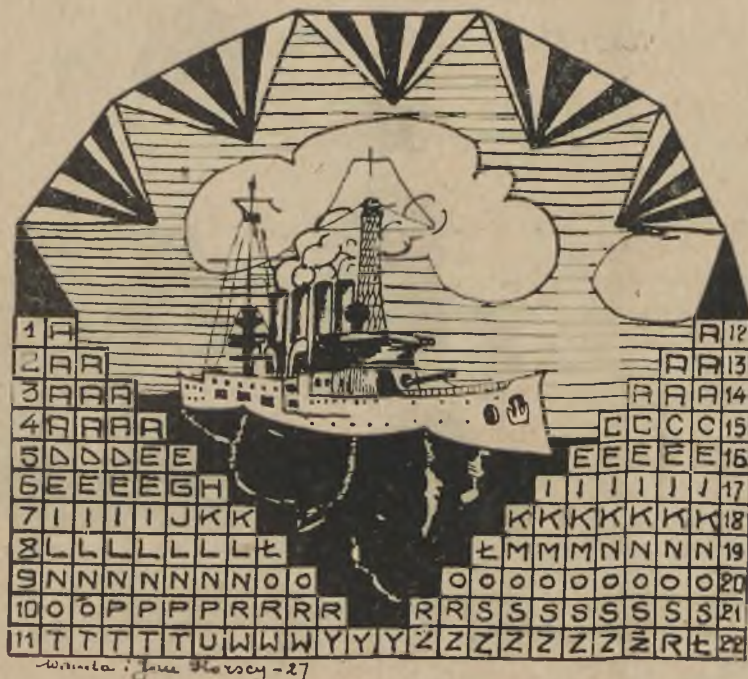
Zwyczajne leki domowe mają nieraz wiele prawdziwych zalet. Wypróbowanym takim środkiem przeciw przykrym skutkom odziębienia jest tak zwana gęsia pończoszka. Przygotowuje się ją ze skóry zdjętej z nóg gęsich, którą wymacza się w ciepłej wodzie, by należycie wymiękła. Dwa razy na dzień obwija się nią chore miejsca, póki się nie zagoją. Znamiennem jest, że zalecona tym sposobem odziębiona część ciała nie podlega już więcej niebezpieczeństwu choćby najsilniejszych mrozów.

Rozrywki

Dodatek tygodniowy „Tygodnika Polskiego“ poświęcony rozrywkom umysłowym, z nagrodami dla Prenumeratorów, pod redakcją Wandy Kreczyńskiej-Stanslickiej

PRZEKŁADANKA.

Ułożyli i wykonali Wanda i Jan Horscy.



Z podanych liter ułożyć 22 wyrazy, czytane poziomo o niżej podanem znaczeniu. Wyrazy od 1—11 czytają się od prawej strony do lewej, zaś od 12—22 od lewej do prawej. Końcowe litery dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW.

1) Spółgłoska. 2) Rzeka w Europie. 3) Poeta polski. 4) Minerał. 5) Narodowość. 6) Warzywo. 7) Imię męskie. 8) Rodzaj wierzby. 9) Rewizor. 10) Taki sam. 11) Człowiek miłosierny.

12) Samogłoska. 13) Zaimek. 14) Rzeka w Europie. 15) Postać z „Quo-Vadis“. 16) Środek lokomocji. 17) Część rynsztunku kawalerzysty. 18) Miasto w Małopolsce wschodniej. 19) Dawna strzelba. 20) Znany w historji przywódca hajdamaków. 21) Imię meskie. 22) Znakomita artystka polska.

PRZEKŁADANKA

ul. „Pani Jana“

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
A	A	A	A	A	A	A	A	A	A	A	B	B
B	C	D	E	E	E	E	G	G	I	I	I	I
K	K	K	L	L	L	Ł	M	M	N	N	N	O
O	P	P	P	R	R	R	R	R	R	R	R	S
S	Ś	T	T	U	W	Y	Y	Y	Z	Z	Z	Z

Podane litery poprzestawiać w ten sposób, aby dały 13 wyrazów czytanych pionowo. Litery w oznaczonych kratkach, czytane od lewej strony, ku prawej dadzą rozwiązanie.

ODPOWIEDZI

z działu rozrywek upraszamy nadsyłać pod adresem:

REDAKCJA

Tygodnika „FATA-MORGANA“

ul. Nowogrodzka 12 w Warszawie

LOGOGRYF

ul. Stanisław Łabędzki

Z podanych sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

Sylaby: a, an, be, cja, ciak, dja, du, dzy, e, ge, go, jec, ka, ka, ka, la, le, lja, lu, me, mia, min, mont, na, na, na, nar, nard, nin, no, o, o, or, pe, pi, ra, ra, ra, rey, ro, ry, ry, so, ty, wam, wan, żec.

Znaczenie wyrazów: 1) Rodzaj dawnej broni. 2) Narodowość. 3) Sportowiec. 4) Nazwisko polskiego powieściopisarza. 5) Tragedja klasyczna. 6) Rzeka w Polsce. 7) Liściosnosy. 8) Część świata. 9) Imię męskie. 10) Próżne miejsce. 11) Inaczej pismo św. 12) Zwierzę. 13) Pobojowisko polskie z 1920 r. 14) Zabieg chirurgiczny. 15) Bogini.

ŻARCIK

ul. Irma Wroncka

Zabawa i znane nazwisko,
Bywa wysoko, bywa też i nisko.

ZNACZENIE WYRAZÓW

1) Dopływ Wołgi. 2) Legumina z jaj i mąki. 3) Rodzaj ptaków wróblowatych. 4) Rodzaj ptaków brodzących. 5) Kwiat. 6) Dość już tego. 7) Pospolita roślina. 8) Ubiór kobiecy na szyję. 9) Gniew. 10) Grupa wysp należących do Archip. wysp. Moluckich. 11) Nazwisko gwiazdy pierwszej wielkości, znajdującej się w konstelacji Orjona. 12) Utwory poetyckie. 13) Szereg stopni.

Kartki z humoru



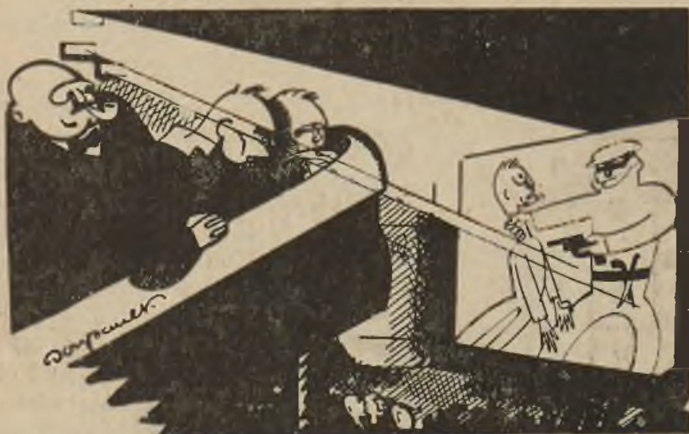
— *Szanowna pani raczy zauważyć, że gwarantujemy za towar nasz choćby 10 lat...*



— *Kiedy mówię: „byłem ładny". to czas przeszły, a co będzie, kiedy powiem: „jestem ładny"?*
— *To nie prawda będzie. panie profesorze.*



— *Co jest? niech no pan jeszcze podciągnie na szelkach i będzie w sam raz...*
—*To nie będzie widać kołnierzyka!*



— *Dobrze się bawisz w kinie?*
— *Ja nie chodzę do kina, żeby się bawić. Ja się tu uczę.*



Skromność...

Odgłosy ekonomiczne

Dodatek tygodniowy „Tygodnika Polskiego" poświęcony zobrazowaniu spraw gospodarczych finansowych i ekonomicznych w Polsce pod redakcją Wł. Józefowicza

Rozumna propaganda i reklama

Szkoły przemysłowe H. Forda

Rozumne środki przemysłowo-handlowej propagandy przynoszą nieraz zaszczyt ich inicjatorom, a zwłaszcza jeśli zrodzone są pod wpływem ducha obywatelskiego.

Znany jest sposób propagandy, używany skutecznie przez H. Forda, iż należy nie szczędzić robotnikowi zarobku, a stanie się on najlepszym odbiorcą zakładów, w których jest zatrudniony.

Nie mniej skuteczną drogą jest wychowanie zastępów ludzi, którzyby otrzymali zawodowe wykształcenie na gruncie zakładów przemysłowych i, wdzięcznie je wspominając w życiu, stali się wiernymi agentami propagandy firmy.

Z tą myślą założona została szkoła H. Forda, która w październiku 1916 r. liczyła zaledwie 6 uczniów i jednego instruktora, dziś zaś posiada 1700 uczniów i 125 instruktorów.

Przyjmuje się do szkoły młodzież w wieku od 12 do 15 lat.

Z chwilą wstąpienia do szkoły, każdy chłopiec otrzymuje stypendjum w kwocie dol. 7.20 tygodniowo, wypłacane co miesiąc 5-go i 20-go, nie wyłączając wakacyj, trwających 3 tygodnie latem i 1 tydzień podczas świąt Bożego Narodzenia. Co 6 tygodni składa się sprawozdanie z prac każdego ucznia. Jeżeli sprawozdania wykazują szybkie postępy samodzielne, to stypendjum wzrasta o 40 centów na tydzień. Gdy zaś zarobek osiągnie 10 dol. tyg., to zaczyna być brany pod uwagę także charakter prac, wykonywanych przez ucznia w wytwórni. W ten sposób uczeń pilny, mając lat 17, może otrzymywać stypendjum do 18 dol. tyg., co stanowi maksimum do czasu ukończenia 18 lat.

Po ukończeniu 18 lat, uczeń przechodzi na kurs wyższy. Pracuje on wówczas 8 godz. dziennie w fabryce, a nadto słucha wykładów kreślenia („wyższego") i matematyki, w ciągu 4-ch godz. tygodniowo. Płaca jego wzrasta stopniowo do 30 dol. tygodniowo, gdy kończy on 19 lat, i może dojść do 40 dol. ku 20-tu latom. W tym wieku zazwyczaj dostaje on posadę w fabryce.

Wartość produkcji rocznej ucznia w warsztatach szkolnych wynosi ok. 1000 dol., dochód więc z tego źródła wynosi ok. 1.700.000 dol., co wystarcza na opłacenie stypendjów, pensyj instruktorów i wszystkich innych wydatków szkoły, i oprocentowania kapitału zakładowego urządzeń.

Prócz opisanej tu szkoły, istnieje inna, którą należy odróżnić od tej. Ta druga, t. zw. Ford Apprentice School, posiada 1.500 uczniów w wieku 20 — 25 lat i szkoli wykwalifikowanych mechaników.

Istnieje wreszcie jeszcze szkoła pod nazwą Ford Service School, mająca 300 studentów z 30 z górą różnych krajów. Wielu z nich ma dyplomy szkół technicznych i pragnie nauczyć się jeszcze dodatkowo w Ameryce, by pracować potem w swoim kraju. Prowadzenie tej szkoły — jak stwierdza jej dyrektor — jest traktowane częściowo jako grzeczność względem krajów, częściowo zaś umotywowane jest oczekiwaniem, że jej wychowankowie będą mogli odwdzięczyć się kiedyś firmie za udzieloną im wiedzę. Szkoła ta jest uznana przez władze Stanów i uczący się w niej są dopuszczani do Ameryki niezależnie od kontyngentów imigracyjnych, ustalonych dla odnośnych krajów. Kurs trwa dwa lata. Studjujący przechodzą przez niewiele działów fabrykacji, lecz głównie pozostają w różnych działach montowni i naprawni. Sprawozdanie szkoły wymienia w obecnej chwili uczniów z nast. 35 krajów: Armenji, Australji, Brazylji, Chile, Chin, Columbji, Costa Rica, Czechosłowacji, Danji, Egiptu, Filipin, Finlandji, Francji, Grecji, Guatemali, Holandji, Hiszpanji, Indyj, Japonji, Jugosławji, Kanady, Kuby, Meksyku, Niemiec, Norwegji, Panamy, Persji, Polski, Porto Rico, Portugalji, Rosji, Szkocji, Szwajcarji, Szwecji i Turcji.

— — — — — — —

Czyż nie jest to godna naśladowania metoda propagandy?

Szybki wzrost dochodów państwowych

Wpływy z danin publicznych i monopolów za czas od początku bieżącego roku budżetowego 1927-28 to jest od 1 kwietnia r. b. do 31 października r. b. wyniosły ogółem 1175,5 miljonów zł. to jest o 257,3 miljonów zł. więcej niż za tenże okres ubiegłego roku budżetowego. W tem wpływy z danin publicznych wyniosły 750,9 miljonów zł. wobec 580,4 miljonów zł., wpływy zaś z monopolów 424,6 miljonów zł. wobec 337,8 miljonów zł. za tenże okres roku ubiegłego. Daniny publiczne dały przeto w okresie do 1 kwietnia r. b. do 31 października r. b. o 170,5 miljonów zł. więcej, monopole zaś o 86,8 miljonów zł. więcej, niż za tenże okres roku ub.

Wpływy z danin publicznych i monopolów za pierwszą dekadę listopada roku bieżącego wyniosły ogółem 63,5 miljonów to jest o 17,9 miljonów zł. więcej niż za tenże okres roku ubiegłego. W tem wpływy z danin publicznych wyniosły 40,7 miljonów zł. wobec 28,1 miljonów zł., wpływy zaś z monopolów 22,8 miljonów zł. wobec 17,5 miljonów zł. za tenże okres roku ubiegłego. Daniny publiczne dały przeto za pierwszą dekadę listopada roku bieżącego 12,6 miljonów zł. więcej, monopole zaś o 5,3 miljonów zł. więcej niż za tenże okres roku ubiegłego.

Echa

Dodatek tygodniowy „Tygodnika Polskiego", poświęcony kronice ważniejszych wydarzeń w Polsce i zagranicą

ZJAZD RADY NACZELNEJ CHRZEŚCIAŃSKIEJ DEMOKRACJI W WARSZAWIE



W dniu 27 listopada r. b. obradowała w Warszawie Rada Naczelna Chrześciańskiej Demokracji. Zdjęcie nasze przedstawia członków Rady z prezesem stronnictwa, posłem Józefem Chacińskim na czele.

Ś. P. FRANCISZEK MOŚCICKI



Prezydenta Rzeczypospolitej dotknął głęboki cios przez stratę syna ś. p. który zmarł w 28-ej wiośnie życia

BOLESNA STRATA DLA RUMUNJI



Na fotografji widzimy zmarłego rumuńskiego męża stanu Bratianu podczas rozmowy z min. Titulescu na dworcu w Paryżu, dokąd jeździł pertraktować z ks. Karolem

Z PRASY STOŁECZNEJ



Utalentowany pisarz i publicysta, Władysław Evert objął stanowisko naczelnego redaktora „Polski Zbrojnej"

KSIĄŻĘ RI W POLSCE



Przed kilku dniami przybył do naszej stolicy syn ostatniego cesarza Korei książę Ri w towarzystwie małżonki i osób świty

Rozmaitości Literackie i Naukowe

Dodatek do Nr. 43 „Tygodnika Polskiego“

Z rymów i rytmów

Zima

„Trzeba iść! bo my zawsze gotowi
Nabić flintę i sobie pójść w las!
Bodaj słucki dać w zastaw dziś pas,
Lecz iść przeciw złym burz piorunowi...
Stary proboszcz mamrotał, że „Czas!“
I sam uzdę zakładał koniowi...
„Trzeba iść, bo my zawsze gotowi!
Z tego znają po świecie już nas!...“

W śnieżny pył z mglą leciały ich sanie;
W śnieżnym pyle ślad podków... Wiatr... chłód...
W saniach chmurny i zbrojny był lud...
I ktoś szepnął, że to — „polowanie“...
A za wierzbą w strumieniu jest bród,
Potem łąka i borów szemranie...
Wiesz, że oni tam, w cichej polanie,
Wiesz, że nęka Wolności ich głód.

Narzeczona mówiła ci zrana,
Że „inaczej“ — nie zechce cię znać!...
Ha, więc trzeba karabin już brać,
Iść gdzie błyska się zborna polana,
I. nie pora wiersz pisać czy spać.
Garstka prochu w poemat schowana!...
Weź pistolet pradziada-ułana:
Narzeczonej poemat masz dać!...

MIŁOSZ GEMBARZEWSKI.

PRZY KOMINKU

Biedny Karpiński, słynacy na dworze Stanisława Augusta, jako znakomity „causeur", został zmuszony przyjąć na starość lat gościnę w królewszczyźnie, gdzie niejeden emeryt żył na łaskawym chlebie.

To też niechętnem okiem spoglądał starowina na młodych, którzy nieraz szydzili boleśnie nad steranym wiekiem starczym, paraliżującym u najznakomitszych z ludzi fizyczne i umysłowe zdolności.

Zapytany jednak pewnego razu przez młodego impertynenta, jaki będzie rym do wyrazu „cietrzew", z dawną sobie bystrością odpowiedział improwizowanym wierszem:

„Z pomiędzy drzew
Wyleciał cietrzew,
Szukał bałwana
Znalazł waćpana".

Gaworzył sobie pewnego razu król Jan III z dworzaninem, nazwiskiem Gomuła, gdy wtem zameldowano o przybyciu jednego z obcych posłów.

Gdy wprowadzono cudzoziemca na pokoje, ten, zmylony kontrastem skromnego odzienia króla w porównaniu do pysznych szat imć pana Gomuły, zwrócił się do tego ostatniego i oddając dworski pokłon wyszeptał z uszanowaniem:

— Sire...

Co widząc, Gomuła domyślił się wlot, iż zaszło tu nieporozumienie. Pośpieszył więc je wyjaśnić i wskazując na króla, wyrzekł uroczyście:

— Oto jest „Syr", mości panie, a ja jeno Gomuła...

Znany z dowcipu i niesłychanych konceptów szlachcić pewien, nazwiskiem Bychowski, znalazł się był na balu maskowym w Kamieńcu Podolskim.

A że głowę jego zdobił cudaczny kołpak bez denka, więc zwrócił się do niego jeden z marszałków, sądząc że mu dotnie:

— Co widzę, mości Bychowski, masz próżną głowę?

— Bo marszałkowska — odparł ze spokojem Bychowski, który zgóry snać sobie przygotował takie prowokacyjne zapustne „decorum".

A że nie zawsze mógł się wesoło bawić imć pan Bychowski, więc były i takie chwile, kiedy melancholijnie przesiadywał w oknie miastowej swojej kwatery i znudzonym wzrokiem spozierał na przechodniów.

Właśnie para rozchichotanych podwik przesunęła pod oknem, a gdy jedna z nich jęczała z udawaną boleścią:

— Jakże mi się jeść chce, chyba nie wytrzymam...

— O tego zjedz grubasa — roześmiała się druga, wskazując na Bychowskiego.

Wychylił się więc radośnie znudzony szlachcic i chciał do nich przygadać, gdy wnet zerwały się do ucieczki, wgłos krzycząc ze śmiechem:

— E, nie! to on nas chyba zje...

— Nie bójcie się, sikory — rzucił im wślad imć pan Bychowski — ja cielęciny nie jadam...

Po kilka razy namyślano się za czasów rosyjskiej cenzury nad użyciem tego lub innego wyrażenia, nie można było jednak nigdy przewidzieć, co też przyjdzie do głowy złośliwej gadzinie w urzędowym mundurze, której powierzana była delikatna funkcja dowolnego wykreślania tekstów, dyktowanych przez wyższe natchnienie.

Wszystko ich raziło, wszędzie dopatrywali się „niebłagonadiożnosti" myśli, co tem łatwiej im przychodziło, że żadnych nie było ściśle określonych regulaminów ograniczenia słowa.

W zwykłem więc wyrażeniu, że „dziś deszcz pada, a na jutro zapowiada się pogoda", dopatrzono się naprzykład aluzji do zmiany rządów na lepsze.

Przymówki

Na św. Barbarę
(4-go grudnia)

W święto Barbarki
Zdejm sanie z górki

Święta Barbara po wodzie,
Boże Narodzenie po lodzie

Święta Barbara po lodzie,
Boże Narodzenie po wodzie.

Kiedyindziej znów, do zdania „cudownie była przybrana sala" dopisano „cudow niet".

Z plakatu teatralnego w którym było: „Robert i Bertrand" czyli „Dwaj Złodzieje", wykreślono złodziej, w obawie, że chodzi tu o Aleksandra II i regenta pruskiego, którzy mieli być obecni na przedstawieniu.

W zdaniu: „na ulicy Marszałkowskiej posadzono rząd drzewek", dodano do wyrazu „rząd" epitet „opiekuńczy".

Wypadków takich można naliczyć bez liku i, choć niejeden wydaje się być wytworem bujnej fantazji narratora, fantazję tę przypisać by należało biednym, zasuszonym mumjom biurokratyzmu.

Piękna jest legenda o klasztorze oliwskim, która stała się źródłem popularnego jeszcze w ubiegłem stuleciu przysłowia:

„Bodajeś nie miał chleba innego, jak w Oliwie".

Legenda ta, cytowana przez ks. F. Jaroszewicza i przez Lipińskiego, podana jest przez Weryho-Darowskiego w następującem brzmieniu:

„W kościele oliwskim, między wielu ozdobami i osobliwemi rzeczami, znajduje się na stronie prawej za szkłem bułka chleba w kamień obrócona, a to z tej przyczyny: roku pańskiego 1217, gdy około Gdańska wielki głód ludzi trapił, pobożny opat oliwski kazał ustawicznie chleb piec i zgłodniałym ludziom rozdawać. Trafiło się, że jeden z ubogich wziął bułkę chleba, a wyszedłszy z klasztoru, wrócił się potem i zakłamawszy się, że dopiero pierwszy raz przyszedł, wziął drugą.

A gdy powracał do Gdańska, zaszła mu poważna bardzo matrona (zapewne Matka Boska), piastująca na ręku prześliczne dzieciątko, która jego prosiła, aby na posiłek użyczył jej chleba.

— Rzekł ów: ja sam nie mam chleba.

— Rzecze owa matrona: oto masz za pazuchą bułkę...

— On na to: to kamień nie chleb, a to mówiąc, palcem go dotykał.

— Więc ona rzekła: niechże będzie kamień. I natychmiast znikła.

Postąpiwszy ów kłamca o staj kilka, wyjął ową bułkę, aż obaczy, że kamień, a w nim znak palca jego, za czem struchlał.

Skruszony, a oświecony od Boga, co to była za matrona, wrócił się do klasztoru w Oliwie, winę kłamstwa swego wyznał i rzecz tę całą opowiedział, na którą pamiątkę chleb ten chowają na upomnienie kłamców i niemiłosiernych ku bliźnim ludzi.

JANINA OLSZEWSKA.

Dziwaczka

Przyjechała do małego, cichego miasteczka i tam zamieszkała. Rozbitek życiowy, zrujnowany materjalnie i moralnie, niepotrzebny już nikomu. Czy nie wszystko jedno, gdzie i w jakiej świata stronie ostatki dni swoich spędzi?

Rozpacz i smutek, dwoje wiernych przyjaciół, którzy nieszczęśliwym aż do mogiły towarzyszą, szli za nią i, jak cień czarny, żałobny, świat cały zakrywali. Cudne, misterne koronki plątały palce białe, zdobywając w ten sposób egzystencję. Całe dnie spędzała z szydełkiem w rękach, biorąc marne grosze za pracę swoją, ot byleby żyć! Gdy czasem zwabiona słońcem i pogodą szła zaczerpnąć trochę ożywczego ciepła, patrzały na nią z okien wystaw pajęcze przędze jej pracowitych dłoni i mówiły o wieczorach długich, samotnych, o nocach bez snu, o łzach, co padały na tę biel śnieżną... Nieraz szła daleko przed siebie, gdzie szumiał bór stary, gdzie się pola złociły kłosy złotemi, a łąki kwiatami barwiły. Szła w swej sukni czarnej, prostej, przebranej krepą zrudziałą, w takim samym kapeluszu, co cień rzucał na czoło białe, na oczy szare, smutne...

Na tle zieleni wspaniałej, barwnego kwiecia i tej radości, co drgała w powietrzu, była jakby zgrzytem, rozdźwiękiem, była jakby pytaniem: po co takie smutne, brzydkie cienie snują się po tym tak pięknym świecie?

Dziwaczką ją nazwali, nikt do niej zbliżyć się nie pragnął, ona też ludzi unikała, zawsze sama, milcząca, smutna...

Magda, żebraczka stara, zachodziła tam tylko, rzadko z początku, potem coraz częściej, a wychodziła z twarzą jasną, oczami blasków jakichś pełnemi. Nierzadko spotykano ją, niosącą całe naręcze polnych kwiatów, a gdy pytano szydząc, na co jej one, odpowiadała chmurnie: przydadzą się! i znikała w drzwiach małego domku, gdzie mieszkała dziwaczka.

Ludność małego miasteczka O. składała się przeważnie z kupców. Dwaj miejscowi lekarze, aptekarz i weterynarz, stanowili tak zwane „towarzystwo". Pani doktorowa Psujska, młoda i ładna kobieta, córka blacharza i kapelusznica z zawodu, grała tam rolę arystokratki, a nosząc wysoko piękną, lecz pustą główkę garsonki, lekceważąco traktowała tych, co do ich kółka należeli. Starszy lekarz Partacki, ożeniony z córką rzeźnika, odmawiał porady osobom, mieszkającym w miasteczku i, rozbijając się autem po okolicy, szukał pacjentów „dobrze urodzonych".

Dziwaczka widywała nieraz damy z towarzystwa , przynosiły jej bowiem obstalunki, lecz po każdej takiej wizycie, wyczerpana targiem i rozmową, padała na łóżko z twarzą bladą i zaciśniętemi ustami. Stara Magda na palcach wówczas krzątała się po izbie, rzucając spojrzenia, pełne niepokoju na leżącą, lecz gadatliwa z natury, przerywała ciążące jej milczenie, nie mogąc się powstrzymać od wypowiedzenia tego, co jej na sercu leżało! Podchodziła cicho do łóżka i całując zkolei obie białe bezwładne dłonie swej opiekunki, mówiła:

— A niech tam pani się nie truje temi paskudami! przyszły, taj poszły, a ja ich tu więcej nie wpuszczę!

Gdy blady cień uśmiechu zarysował się na ustach dziwaczki, Magda uszczęśliwiona, dawała folgę swemu wszechwiedzącemu językowi i całą złość, żal i niechęć do artystek, wylewała w niezbyt wyszukanych wyrazach!

— Przestańcie moja Magdo — biegł szept wówczas w stronę rozgadanej kobiety — mnie to nic nie obchodzi.



— A bo proszę pani, co prawda, to nie grzych! Ojcowie buty na patyku sprzedawali, a córka kieby paw się dmie a zgorszenie szerzy i...

Energiczny protest przerywał i kładł tamę potokowi oburzenia, co biegł z ust rozłoszczonej kobiety.

Magda stara dawno już rzuciła kij żebraczy, zamieszkała u dziwaczki i sercem całem przylgnęła do tej, co dzieliła z nią ciężko zapracowany chleba kawał. Radaby kobiecina była wiedzieć coś o przeszłości swej pani, ale duszą prostą wyczuwała, że pytać nie można! Raz jeden, jedyny, panująca zawsze nad sobą jej pani, porządkując w małej skórzanej walizie, upadła nagle na kolana z jękiem bolesnym i trwała tak długo, milcząc, z głową pochyloną, aż Magda nieśmiało podeszła i prosić zaczęła:

— Niechno ino pani wstanie, niech wstanie...

Przenieść swoją panią na łóżko musiała i gdy ją cuciła, z dłoni kurczowo zaciśniętych wypadła fotografja młodego mężczyzny, którą Magda nabożnie podniosła i, jak relikwię, ostrożnie włożyła z powrotem do skrytki. W kilka chwil potem u drzwi doktora Psujskiego zadźwięczał silnie dzwonek, targany niecierpliwą ręką Magdy, która przyszła prosić o ratunek dla chorej. Południe już było, ale pan doktór dopiero wstał i jadł śniadanie, więc pani Psujska w eleganckiej jedwabnej pyjamie okazała się oczom zdziwionej i zgorszonej Magdy, mówiąc, że pan jest bardzo zajęty i nigdzie nie pójdzie. Magda, plunąwszy z pasją i wspomniawszy coś o „pieronach", żywo puściła się z powrotem, niespokojna, co się tam dzieje w domu. Łagodne spojrzenie dużych, szarych oczów powitało ją u progu, więc rzuciła się kobiecina jak szalona, całować ręce swej pani, a widząc, że ta coś szuka około siebie, powiedziała, siląc się na odwagę:

— Obrazeczek schowałam na miejsce, niech ino pani tera cicho leży!

Małe, ślicznie wykrojone usta dziwaczki drgnęły, a z oczu łzy-

perły biec zaczęły. Taki sam sznur pereł rozsypał się po starej, pomarszczonej twarzy żebraczki...

Nieraz dusza ludzka, gdy ją mroki przeżyć otoczą, zabłąka się w ciemnościach tych i na kraju przepaści stanie. Jedno pieściwe „wróć“, wypowiedziane z serca idącemi słowy, mroki rozjaśnia, ratuje od zguby...

W ciszy wieczoru, co po słońca pogodnem zachodzie na ziemię padł i ubogą izbę dziwaczki otulił przędzą szarą, słychać było płacz żałosny Magdy i jej słowa:

— A taki do kościoła trza iść... Bóg ta najlepiej wi, co robi...

*

* *

Jak piorun z jasnego nieba, spadła i zelektryzowała mieszkańców miasteczka wiadomość o wielkim majątku, co niespodzianie podobno dla samej dziwaczki spadł na nią. Listowy, który nigdy do małego domku nie wchodził, przyniósł naraz urzędowe wezwanie, by Jaśnie Wielmożna Hrabianka R-ska zechciała w sprawie spadku zjawić się natychmiast w Warszawie. Drugi list przyniesiony jednocześnie, brzmiał:

Łaskawa Pani!

Z trudem wielkim udało mi się odszukać panią, miło mi też jest, jako dawnemu przyjacielowi Jej rodziny donieść o krociowej fortunie, co po ś. p. hr. R-sku, wuju Pani, spada na Nią. Dla załatwienia potrzebnych formalności proszę uprzejmie przybyć niezwłocznie do Warszawy.

Z głębokim poważaniem
Adwokat *Z-ak.*

Łakome wieści, ciekawe, nudzące się kumoszki małego miasteczka zaczęły latać, strzępić języki i snuć rozmaite domysły. Niektóre z nich łapały Magdę, by wieści zasięgnąć, nawet pani doktorowa Psujska zaczepiła raz starą na ulicy, pytając, co robi jej pani.

— Ano, szyje sobie męskie spodnie, by „arystokratkom zostać — odburknęła złośliwie Magda, mijając oburzoną i dotkniętą do żywego damę.

*

Z okna pociągu, idącego w stronę Warszawy, wychylała się blada twarz dziwaczki, szły serdeczne słowa pożegnania i pociechy, które chciwem uchem łowiła stojąca i płacząca na peronie Magda.

— Niech ta ino jaśnie pani nie zapomni Magdy starej, a ze swego klasztoru list przyszle, żebym wiedziała, co i jak, — prosiła, ocierając oczy, stara.

Pociąg ruszył, płacz kobiety w szloch głośny przeszedł, z ust rwały się słowa „niech Bóg prowadzi“, a ręka szorstka, spracowana, kreśliła krzyżyk za odjeżdżającą.

W kilka miesięcy potem żebraczka Magda została właścicielką ładnego, małego domku i sporego kawałka ziemi. Ogród otaczał zaciszną chatkę, w oborze ryczała krowa, duma gospodyni, która, jak mówiono, ładny jeszcze kapitalik dostała od swej pani. Co miesiąc listowy przynosił uszczęśliwionej kobiecie list z klasztoru od Wielmożnej, która, resztę życia swego poświęciwszy Bogu, biegła często myślą wdzięczną do starej żebraczki.

*

* *

Długo jeszcze opowiadano sobie w małem miasteczku o nędzarce hrabiance, lecz poprzestać musieli na domysłach i plotkach, bo szczegóły były okryte tajemnicą, a Magda co niejedno wiedziała, milczała, jak zaklęta.

Raz, gdy ustrojona w swe świąteczne szaty, kroczyła w niedzielę do kościoła, zaczepiła ją młoda pani weterynarzowa, sądząc, że uprzejmością coś od starej wydobędzie i czegoś się dowie.

— Coście się taka honorowa zrobili, moja Magdo, że znajomych nawet nie poznajecie i nie pozdrawiacie, — zapytała.

— Ja znajomstwa nijakiego nie mam, taj go nie pragnę. — brzmiała sucha odpowiedź!

— O jak to zhardziała żebraczka, wysługując się hrabiance, — ciągnęła urażona pani weterynarzowa.

— Bele komu nie służyłam i służyć ta nie będę, a hrabianka to zawsze hrabianka, a nie pirwsza lepsza, i koniec, — głośno i z dumą wyrzuciła Magda, niknąc w tłumie.

Myśli współczesne

Patrjotyzm wielu jest tak wielki, że nawet życie obiecują ofiarować dla ojczyzny, byleby tylko nie płacili podatków.

Partja i „patria“ to dla wielu prawie to samo; wszak cała różnica polega tylko na przestawieniu dwóch liter.

Osiągnięcie władzy jest początkiem upadku każdej niemal partji; łatwiej bowiem obiecywać, niż dotrzymywać.

Łatwiej odebrać majątek nielicznym bogaczom, niż zbogacić liczne rzesze ubogich.

Każda forma rządu jest dobra, lecz nie wszędzie.

Co dobre gdzieindziej, to niekoniecznie musi być dobre u nas.

Najniebezpieczniejsze są rządy sprytnych sekretarzy.

Rewolucje kończą się najczęściej... zmianą firmy.

Nowy świat i nowe życie powstaną dopiero wówczas, gdy zmienią się ludzkie dusze.

Zmiana formy na nic się nie przyda, o ile równocześnie nie zmienią się dusze.

Jest to rzeczą wielce podejrzaną, jeśli nasze idee zgadzają się zawsze z naszym interesem materjalnym.

Wilk syty i owca cała — mogą być tylko kosztem jakiejś innej owcy.

Kto smaruje, ten jedzie — lecz duchowo się cofa.

Ludzie różnią się najwięcej tem, że większość żyje niemal wyłącznie instynktem, mniejszość rozumem, a mała garstka nieśmiertelnym duchem.

Dr. Stanisław Breyer.

HENRYK KISTEMEAKERS

Ofiara dziennikarza

Wobec cytowania przez pisma codzienne nieścisłych i sprzecznych wiadomości o zajściu, którego byłem żałosnym bohaterem, i nie mając możności zabiegania przed każdym z tych poszczególnych organów prasy o należne sprostowanie, powziąłem postanowienie podania tu dokładnego opisu faktów, przez co, jak myślę, raz na zawsze tamę położę fałszywym pogloskom.

Było to około 3-ej popołudniu. Przechadzałam się bez określonego celu wzdłuż Champs-Elysécs, gdy wtem około pamiętnego domu pod numerem 40-m jakiś pan wytwornej powierzchowności, który właśnie mijał się ze mną, stanął niespodziewanie i, zagradzając mi drogę, wyrzekł z prostotą:

— Ach! mam pana, podły nikczemniku! Bardzo jestem rad z tego spotkania...

Po chwili zrozumiałego zresztą osłupienia wyrzekłem z trudem:

— Przepraszam pana, ale to musi być nieporozumienie. Nie mam zaszczytu znać pana.

— Ach tak? — szyderczo zauważył nieznajomy. — Czyżby? Pan nie ma tego zaszczytu... no to ja w takim razie odświeżę panu pamięć. Benedykt Spark jestem, Benedykt Spark!..

Przybrał przy tem tak groźną postawę i tak podnosił głos, że kilka osób stanęło wokoło. Pomimo największych wysiłków nie zdołałem uprzytomnić sobie, coby mogło mnie łączyć w przeszłości z osobą Benedykta Sparka.

— Zapewniam pana, że to nieporozumienie. Nic mi nie przypomina pańskie nazwisko, ja pana nie znam i pan sam z pewnością przyzna mi rację, skoro mu się przedstawię. Jestem Théodule Parvenu.

— Myli się pan, szubrawcze! Wiem właśnie, że to pan ukradłeś w Chicago dokumenty czcigodnego Parvenu, że pod tem nazwiskiem dalej pędzisz swój zbrodniczy żywot.

To mówiąc, zwrócił się do otoczenia, które, jak skonstatowałem w tej chwili, składało się już z wcale okazałej grupy ludzi. I widać było, jak przechodnie znakomicie się bawią i, przejąwszy się zajściem, żywią już wrogie uczucia.

— Jest pan poszukiwanym przez władze Johnem Leith. Skazano pana w marcu 18... za ohydne morderstwo, popełnione na 2-ch starcach, którym udzieliłeś gościny. 20 czerwca 18... wysadziłeś w powietrze White-City-Bank w Londynie. 8 czerwca 18... poćwiartowałeś dzieweczkę imieniem Gricolde na przedmieściach Brukselli. We wrześniu 18... popełnił pan...

Przerwałem mu nagle i, lekceważąco wzruszając ramionami, starałem się odsunąć nieznajomego z drogi.

— Dość tego! Pan zwarjował, to widoczne. Ja się spieszę...

Ledwo wypowiedziałem te słowa, gdy z ciągle wzrastającego tłumu wysunął się jakiś olbrzym o bladem obliczu i błędnym wzroku i, chwytając mnie za kołnierz, zapamiętale wrzeszczał:

— Jak śmiesz w ten sposób odzywać się do tego człowieka? Jak śmiesz?..

— Idź pan do djabła — przerwałem mu.

To były ostatnie słowa z jakimkolwiek sensem, które zapamiętałem. Reszta zmieszała się w ogólnej wrzawie skąd dochodziły mnie dzikie okrzyki: — bij go! na śmierć go! na śmierć! — i ujrzałem nad głową sklębione pięści, laski, chwiejącą się nawet latarnię, a wszystko w czerwonym tumanie, wreszcie postacie policjantów, którzy usiłowali wyrwać mnie z tłumu... aż wreszcie, zmęczony tem wszystkiem — zapadłem w uśpienie.

Zawleczono mnie do apteki, a stamtąd do szpitala, bo, jak się okazało, wybito mi 3 żebra, z których jedno przebiło szczyt płuca, jedno oko mam w takim stanie, że lekarze obawiają się wypowiedzieć o niem zdania, wyrwano mi włosy wraz ze skórą i doznałem różnych innych obrażeń, a jedno nawet, jak mi oznajmiono, jest wyjątkowo ciekawe. Ogromnie mi to zaimponowało.

Elegancki komisarz policji z tej dzielnicy odwiedził mnie, by zakomunikować o przebiegu śledztwa, które wszczęto o zajściu.

Okazuje się, że nieznajomy gentleman istotnie nazywa się Benedykt Spark i jest korespondentem „The Mail-Post" w New-Yorku przy 17-ej ulicy. Oświadczył, iż, rzeczywiście, nie znał mnie i nie wątpi, że jestem najzupełnej poprawnym gentlemenem. Wyjaśnił w dalszym ciągu, iż nie miał zamiaru zaszkodzić mi w czemkolwiek, a przypadek jedynie zrządził, iż stałem się ofiarą tego przykrego zajścia. Chodziło mianowicie o to, że dziennik, dla którego pisywał, wydelegował go na reportaż w wielkim stylu na temat o zwyczajach i umysłowości tłumów paryskich i że dla odtworzenia w najlepszem świetle tematu dla jednego z tych 6-u sensacyjnych artykułów musiał wywołać zajście, jakie rozegrało się na Champs-Elysées i które zostało uwiecznione ponadto na taśmie filmu do zilustrowania specjalnego cyklu odczytów w salonach „Mail Post'u", że bynajmniej nie przystępował do mnie z premedytacją, a poprostu znalazłem się na jego drodze o godzinie i w miejscu, kiedy światło doskonale nadawało sę do tego przedsięwzięcia i że żaluje niezmiernie, iż poturbowano mnie do takiego stopnia, co tem więcej go martwi, że będzie musiał szczerze powtórzyć swoje wrażenia o psychologji tłumów paryskich i, wreszcie, że gotów jest mnie przeprosić, a nawet, jeśli tego zażądam, udzielić mi wszelkiej satysfakcji.

— Widzi pan, — zauważył dystyngowany komisarz — że Benedykt Spark jest bardzo dobrze wychowanym człowiekiem. Sam mu to powiedziałem, pragnąłem bowiem, by, broń Boże, nie uogólnił swego poglądu na Paryż i sądził, że i komisarze policji... Ale co tam! Chce pan posłuchać mojej rady? Gdybym to ja był na pańskiem miejscu, nie starałbym się bynajmniej o satysfakcję na drodze ordynarnego procesu sądowego — a posłałbym do niego sekundantów. To byłoby eleganckiem, godnem Francuza załatwieniem sprawy...

— — — — — — —

Żadnego jeszcze nie powziąłem postanowienia. Wolę się namyśleć.

I oto cały przebieg sprawy, najgłupszego zajścia w mojem życiu, w którem nie jednego przecież doznałem...

Wśród pism i książek

Co kupić na Gwiazdkę?

Ileż razy niejeden ojciec i niejedna matka stawiają to sobie pytanie, zwłaszcza w okresie zbliżającej się gwiazdki, kiedy zwyczaj, tradycją wieków uświęcony, każe obdarować dziatwę upominkiem?

Co jej kupić?

A jednocześnie czasy takie, że chciałoby się kupić tanio i, rzecz oczywista, z korzyścią i pożytkiem dla młodych latarośli, wkraczających dopiero w życie.

Co kupić?

Wśród różnych podarunków winna się znaleźć książka. Obowiązkowo, gdyż książka musi się stawać też źródłem uciechy i radości od najmłodszych lat i być tym wiernym i mądrym przyjacielem, który nie zawiedzie i nie opuści nigdy.

Niezbyt bogate dotąd piśmiennictwo nasze dla dzieci i młodzieży, od roku wzbogaciło się bardzo. Ukazał się cały szereg systematycznie co tydzień wydawanych „Książek Różowych" i „Książek Błękitnych", stanowiących piękną ilustrowaną bibljotekę, która powinna się znaleźć w każdej szkole i w każdym polskim domu, dbającym o dobro duchowe dziatwy.

Dotąd wydane książki zarówno pod względem treści i doboru autorów, jak i pod względem pięknego i estetycznego wyglądu całkowicie na to zasługują.

*

FATA-MORGANA: Tygodnik, poświęcony rozrywkom umysłowym. Redaktorzy: Wanda Kreczyńska-Stanslicka i Jan Stratilato. Adres redakcji: Warszawa, ul. Nowogrodzka 12 m. 7.

W epoce rozbijania sobie głów piłką nożną oraz pięściami w boksie tygodnik, poświęcony rozrywkom umysłowym, to rzecz, zasługująca ze wszech miar na poparcie i rozpowszechnienie. „Fata-Morgana" zasługuje na nie tem więcej, iż redagowana jest żywo i zajmująco, ładnie zilustrowana i mile prezentuje się pod względem formy.

Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona". Warszawa, Nowolipie 2.

Z redakcyjnego biurka

M. Makaremu w Krakowie. Pierwsza część powieści na razie wyczerpana. Prenumerata opłacona do końca roku 1927. Możliwa zniżka 15 proc.

E. Klar. Oszczędzamy dalszych „szturmów". Ciotunia w drodze.

Z. Siwińskiemu. Rękopisów i rysunków nie zwracamy.

J. Stawickiemu w Łodzi. Dziękujemy za jednanie prenumeratorów. Rachunki, w liczając ostatni przekaz, uregulowane do 1 grudnia.

„Bosi Mustad". Korespondencji z Czytelnikami nie traktujemy jako objaw grafomanji. Ostrzegamy jednak na przyszłość przed tą niebezpieczną chorobą. Premja ukaże się w druku w połowie b. m. i natychmiast będzie rozsyłana zasłużonym naszym Czytelnikom. Nazwisko L... sprostowaliśmy według wskazówki. Dziękujemy za życzenia.

W. Michalskiemu w Wołkowysku. Zanotowaliśmy podaną zmianę adresu. Resztę z „Godziny", t. j. zł 2, przepisaliśmy na Tygodnik, zaliczając prenumeratę do 15 b m.

J. Olszewskiej w Ostrzeszewie. Przepraszamy za niedokładne załatwienie sprawy abonentów Nie możemy, niestety, podawać odpowiedzi odnośnie drukowania w żądanej formie. Wystarczy chyba dotychczas okazywana przez nas najlepsza wola. Chętnie zamieścimy inne utwory.



Br. Danilewiczowi 3 p. sap. Premja będzie rozsyłana w połowie b. m.

S. Cieślakowi w Mińsku Mazowieckim. Prosimy powtórzyć treść zapytania.

„Jog" w Rudniku. Różnica w cenie za numery do kompletu wynikła z powodu przeliczenia nowej taryfy. Żałujemy, iż nie możemy dosłać Nr. Nr. 12 i 13, gdyż są oddawna wyczerpane. Rabatu możemy udzielić, czyniąc w danym wypadku wyjątek wobec rzeczywistych korzyści, które osiągnęliśmy. Nadesłane adresy zanotowaliśmy i skierowaliśmy odpowiednie numery.

W. S. H. w Tarnowie. Staraliśmy się zasięgnąć odpowiednich danych, niestety jednak nie jesteśmy w stanie załatwić tej sprawy bez obciążenia Pana kosztami, które liczą sobie same odnośne urzędy. Rachunek, wyniesie nie mniej 80 zł.

Altermanowi w Krakowie. W koszu.

S. Targowskiej. Zwrócono nas do konsulatu w Antwerpji. Czyby nie było lepiej osobiście do nich napisać?

War-u. Kolportaż na razie wstrzymany z powodu nawiązania kontaktu z Rzecząpospolitą, którą nabyć można w każdym kiosku. Niedzielny dodatek nasz niczem nie różni się od zwykłego naszego numeru. Jedynie Prenumeratorzy korzystają z różnych premji.

NA GWIAZDKĘ!

5 Następujących książek „BIBLJOTEKI RZECZPOSPOLITEJ“

CZESŁAW MĄCZYŃSKI — Boje Lwowskie (2 tomy)

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI — Z legend współczesnej Polski

EDWARD LIGOCKI — — — Gdyby pod Radzyminem

PROSPER MÉRIMÉE — — — — — — Carmen

S T A N O W I Ą

NAJLEPSZY PREZENT

Dla dorosłych i młodzieży.

Komplet powyższych książek wysyła się po cenie znacznie zniżonej, mianowicie:

Zł. 7 łącznie z przesyłką

Zamówienia i pieniądze prosimy przesyłać pod adresem: Administracja „R z e c z p o s p o l i t e j“, ul. Szpitalna Nr. 12, lub Konto w P. K. O. Nr. 1239.

Kalendarz — Książka „Rzeczpospolitej“

NA 1928 ROK

ukaże się w pierwszej połowie grudnia r. b. i wysyłany będzie b e z p ł a t n i e wszystkim prenumeratorom, którzy opłacą prenumeratę do końca r. b. jak również i tym nowym p r e n u m e r a t o r o m, którzy, zamawiając dziennik, uiszczą p r z e d p ł a t ę za kwartał